

Węgry to kraj kontrastów. Są tu miejsca ciekawe i warte odwiedzenia jak Budapeszt. Tihany i Keszthely nad Balatonem oraz takie jak Hajduszoboszlo, które są raczej przereklamowane i nudnawe. Można to spotkać ludzi radosnych i życzliwych, ale też takich którzy są obojętni lub wręcz wrogo nastawieni...

Lato 2004 roku postanowiliśmy spędzić na Węgrzech. To niedaleki kraj więc wybraliśmy się ze znajomymi na dwa auta. Po drodze zatrzymaliśmy się na kilka dni w Słowackim Raju, gdzie spacerowaliśmy po górach, które miejscami mają ścieżki jak z Indiany Jonesa. Obwieszony w kamerę, aparat foto i plecak nie za bardzo mogłem sobie poradzić na wąskim skalistym szlaku, gdzie od przepaści dzieliło nas kilka centymetrów. Ale kto nie był powinien tam zajrzeć. Spokój, natura, góry, las... to był dobry, wyciszający i aktywny początek naszych wakacji.

Ale już za kilka dni przekraczaliśmy granicę z Węgrami. Kierowaliśmy się do osławionego Hajduszoboszlo, głównie ze względu na dzieci, które zabraliśmy na wyprawę, bo dla nich baseny to zawsze jedne z największych, letnich atrakcji. Jechaliśmy w ciemno i jak się okazało bez problemu znaleźliśmy kwatery, bo gdy podjechaliśmy pod wejście do parku z basenami kilku oferentów tanich noclegów od razu nas zaczepiło. Wybraliśmy dość ładną, młodą kobitkę, choć wyglądała na cygankę, która twierdziła, że ma cały domek do wynajęcia w dobrej cenie niedaleko stąd. Okazało się, że mówiła prawdę. Domek był co prawda nieduży, ale więcej nam było potrzeba. Pokoje schludne. Cena wydawała się też niewygórowana, choć nasi towarzysze podróży chcieli jeszcze zobaczyć kilka innych kwater do porównania. Jak się okazało, inne oferty były mniej atrakcyjne cenowo i jakościowo, co więcej większość wynajmujących z trudem знаła parę liczebników po angielsku. Po rosyjsku w ogóle nie chcieli rozmawiać, choć pewnie ci starsi, musieli się go uczyć w szkole tak jak kiedyś my w podstawówce. Językiem kontaktowym był dla nich niemiecki, z którym z kolei my mieliśmy problemy. Suma sumarum, wróciliśmy do naszej młodej, ładnej cyganki.

Po szybkim zakwaterowaniu chcieliśmy zobaczyć miasteczko, ale jak się okazało wieczorny spacer zapoznawczy zajął nam dosłownie kilkanaście minut, bo nie było za bardzo co zwiedzać, ani gdzie iść. Wróciliśmy więc na kwaterę.

Poznaliśmy za to konkubina naszej cyganeckiej, delikatnie mówiąc trochę starszego od niej (jakieś 20 lat), który okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem. Na wieczorek zapoznawczy wyciągnął jakieś domowej roboty trunki, my mieliśmy gitarę, cyganecka tańczyła i było bardzo wesoło i miło. Niestety sąsiadom nie przypadło wieczrno-nocne granie i śpiewanie (w różnych językach) do gustu i kilkakrotnie walili w furtkę w płocie (podobno, bo niestety nie słyszeliśmy tego).

Dopiero gdy odłożyliśmy na kilka minut gitarę nasz gospodarz podszedł do furtki, za którą stało już tak z 5-7 chłopów. trochę się poszturchali z naszym egeszegiem, który wpadł na swoje podwórze razem z furtką. Pobiegliśmy mu pomóc, ale on z cyganczką zaczęli nas powstrzymywać twierdząc, że nie warto, że to on coś tam ich nawyzywał, że mamy dzieci, zaparkowane samochody i że generalnie to ich sprawa i nie mamy prawa się w to mieszać. W każdym bądź razie to był koniec tej miłej imprezy powitalnej.

Następnego dnia, nasz gospodarz z samego rana zaczął wstawiać furtkę wesoło podgwizdując. Po radosnym, porannym powitaniu zobaczyliśmy jego podbite oko. Był bardzo dumny i twierdził, że dał tym łobuzom popalić. No cóż, nie znamy tych obyczajów, więc mu pogratulowaliśmy, z poczucia winy przeprosiliśmy za kłopoty i udaliśmy się z dziećmi na baseny.

Cały park robi dość dobre wrażenie, ale niestety szybko się nudzi. Ciągłe Tigelem, tigelem z megafonów, największy basen udaje morze, sztuczna fala, sztuczna wyspa z plażą dla naturystów, wszystko jakies takie sztuczne i plastikowe, ale to kwestia gustu. Ja wolę czystą naturę, a nie jej substytuty. Dlatego po 2 dniach udaliśmy się nad Balaton, węgierskie morze, po drodze zwiedzając Budapeszt.

Stolica Węgier robi wrażenie, jak Wiedeń czy Praga. Bogate i stylowe budowle, nie odbudowywane jak w Warszawie, ale stare, niezniszczone. Zdaliśmy sobie sprawę, że angielska nazwa Warszawy - Warsaw znaczy Widziała wojnę. Budapeszt tej wojny jakby nie widział. Warto go odwiedzić choćby na jeden dzień. Nie mieliśmy jednak zbyt wiele czasu na dogłębne poznanie miasta, więc torczę pokręciliśmy się po starym mieście, zwiedziliśmy parlament (od złota aż się w nim świeciło), zjedliśmy po langosie i udaliśmy się nad Balaton.

Zatrzymaliśmy się w Balatonfured, do którego dotaraliśmy po krótkiej przeprawie promowej przez Balaton. Okazało się, że woda ma zielony, glonisty kolor i nie nadaje się do kąpieli. Na dodatek ciężko było się z kimkolwiek porozumieć po polsku, rosyjsku czy angielsku, o ile w Hajduszoboszlo na kwaterach chcieli mówić po węgiersku lub niemiecku, to w na terenie parku wodnego niektórzy kelnerzy znali podstawowe słowa po polsku, a nawet menu czasem było też podawane po polsku. Nad Balatonem obowiązywał wyłącznie język węgierski i niemiecki. To chyba pozostałość historyczna po Austro-Węgrach.

Następnego dnia poszliśmy tradycyjnie na spacer po miasteczku. Przyjemna promenada wzdłuż brzegu pomnik Neptuna, łabędzie i jakies małe wężyki w wodzie, które co chwilę się pojawiały i chowały. Woda śmierdziała siarkowodorem, więc kąpiel mieliśmy z głowy. Postanowiliśmy objechać Balaton dookoła samochodem.

Zwiedziliśmy m.in. Keszthely, w którym jest piękny pałac ze wspaniałą,

piętrową biblioteką i miasteczko Tihany, do którego można też dostać się promem. Warto, bo ma ono skansenowy klimat. Zdobione garnuszki na płotach, talerzyki, ceramika, tkaniny, wszystko na sprzedaż. Miasteczko wygląda jak z dawnych lat i jak siedziba ludowych artystów i rzemieślników wszelkiej maści. Ciekawe wrażenie robiły także domy kryte słomą. Przyglądaliśmy się jak jeden z nich był akurat pokrywane przez grupkę słomianych dekarzy. Podobno co kilka lat trzeba wymieniać słomę z pokrycia, bo gnije. Roboty więc z tym co nie miara.

W Tihany postanowiliśmy zjeść obiad w jednej z tych uroczych ludowych, tradycyjnych karcz z cygańską orkiestrą. Nawet udało nam się znaleźć wolny stolik, co było nie lada szczęściem bo turystów w osadzie było bez liku. Niestety po 20 minutach czekania na kelnera, udaliśmy się głodni dalej. Być może to wina tego, że nie rozmawialiśmy jak większość gości po niemiecku. A mówi się, że Polak i Węgier to dwa bratanki. Przypomniał nam się jeden taki z Hajduszoboszlo, co przyplącił taką przyjaźń podbitym okiem i wybitą furtką.

Okazało się, że nasi inni znajomi też przebywają w tym samym czasie na Węgrzech i bardzo sobie chwalały pobyt w Miskolcu. Postanowiliśmy się tam udać w drodze powrotnej. Zatrzymaliśmy się Miskolc Tapolca, gdzie są baseny termalne. Bez problemu znaleźliśmy kwatery w domku kilkaset metrów od wejścia na kąpielisko, które było wydrążone jakby w środku naturalnej góry. Wewnątrz baseny o głowę przebijają klimatem te w Hajduszoboszlo. Właściwie zamiast basenów pływanie odbywa się w pieczarach, grotach połączonych kanałami. Natryski są ze stalaktytów (nieważne czy sztuczne czy prawdziwe, bo całość zamknięta we wnętrzu góry robi niesamowite wrażenie). W jednej z pieczar w ciepłuteńkiej wodzie można sobie posiedzieć i pokrzyczeć, a echo wzmacniane jakąś membraną unosi twój głos w przestrzeni. W innej wyświetlane są nad jaskiniowym stropem gwiazdy, w kolejnej jest jakuzzi, a w kolejnych jeszcze coś innego. Tu warto posiedzieć 2-3 dni i odprężyć się po objazdowej wyprawie po państwie promiennych słoneczników (po drodze mijaliśmy piękne, żółte pola) i ostrej papryki (tradycyjna przyprawa, często spotykana w trakcie suszenia na płotach).

Węgry warto odwiedzić, bo to niedaleka wyprawa z Polski i na około tydzień czasu. Jest tu latem znacznie cieplej niż u nas. Przy drogach sprzedają melony z okolicznych upraw, a nie jak u nas z importu. Niestety kąpiel tylko w basenach termalnych w Miskolcu lub Hajduszoboszlo, bo Balaton się do tego w ogóle nie nadaje. Raczej można nad tym "węgierskim morzem" tylko powędkować i pożegłować.